

Uwagi godnym jest u nas fakt częstego egzaltowania się ospałej opinii w stosunku nieproporcjonalnym do powodów. Zwykle martwa, obojętna, dostaje nagle gwałtownych napadów hysterii, w której albo coś potępia, albo wychwala bez miary. Po każdym takim paroksyzmie szybko powraca do obojętności i ceni przedmioty swych złorzeczeń lub lekceważy przedmioty swej chwalby. Prawie zawsze przypadłość rozpoczyna się u niej od głowy — od prasy, za którą idą inne organy. Prasa ta w znacznej swej części szklanym, martwym okiem patrzy nieraz na najpomyślniejsze objawy naszego życia i w jednej chwili, bez widomej racji uczuwa zawrót, wstrząsa się, zapala i nabożnie klęka przed czymś, co bynajmniej nadmiernych uniesień nie usprawiedliwia. Jest to dowód niedojrzałości czy choroby, słabej wiedzy czy zdenerwowania się w dusznym powietrzu — badać tu nie będziemy, zaznaczamy tylko, że owa histeria objawiła się również przy tegorocznym konkursie dramatycznym.

Jeszcze przed ogłoszeniem wyroku biegały w pismach zadyszane wieści, że w plonie konkursowym znalazły się złote kłosa; po rozdaniu nagród zaczęto bić z armat dziennikarskich salwy na urodziny geniusza. Opowiadano, że sędziowie, czytając Alberta, nie mogli opanować wzruszenia, że przyznawszy jego autorowi jednogłośnie pierwszą palmę, ze łzami radości rzucili się sobie w objęcia, że takiej chwili nigdy może literatura polska nie miała. „Trzeba było widzieć — pisze pewien sprawozdawca — tych «starych», którzy na drugi dzień po odczytaniu ogólnym Alberta, z rumieńcem na licach, z iskrzącymi oczyma, wbrew sędziowskiej dyskrekcji spowiadali się ze swoich wrażeń i mówili o tej tragedii z takim zapalem młodzieńczym, jak gdyby każdy z nich sam był jej autorem.” Gdy odsłonięto nazwisko tryumfatora, który „położył się nieznanym, a wstał znakomitym” i „przez jedną noc” zyskał sławę, zaczęto go interviewować, oprowadzać po salonach, wyprawiać bale „z Kozłowskim”, deklamować ustępy z jego dramatu prywatnie i publicznie. Wyrysowano go we wszystkich ilustracjach, wydrukowano jego młodzieńczy wierszyk, nie zasługujący na pokaz, ale mający dla narodu urok i wartość miłej pamiątki, jako pierwocina autora rozległej chwały, który połączył w sobie „Shake-speare'a, Kochanowskiego i Słowackiego”. „Tak nam trzeba było — mówił wspomniany krytyk — teraz właśnie jakiegoś zwycięstwa, które by dało świadectwo naszej żywotności duchowej, jakiejś pociechy w przygnębieniu, jakiegoś dowodu, że ten duch wśród zimnych i nieprzyjaznych prądów naszej epoki jak stary gwardzista w najcięższej walce nie poddaje się, że wspina się przeciw jak woda, im ciaśniej, tym wyżej.” Ponieważ poza kołem konkursowym i jego przyległościami nikt nie znał arcydzieła, a druk jego opóźniono, przez kilka tygodni więc owe chwalby rosły bujnie, powstrzymywane zaledwie przestrogi, ażeby podniósłszy laureata zbyt wysoko, nie przyprawiano go o niebezpieczny upadek. Przestrogi te opierały się z jednej strony na widocznych znamionach przesady, z drugiej na tym pewniku, że nad kolebką geniuszów nigdy nie śpiewa chór pochwalny, bo ich jeszcze nie rozumie.

Nareszcie ukoronowany Albert ukazał się w „Gazecie Polskiej” i zbudził równomierne zachwytem rozczarowanie, a nam przypomniał pewną anegdotę. Żołnierze pułku czwartaków 6, ustawivszy się przed rogateką długim szeregiem w dzień targowy, zapytywali wieśniaczkę niosącą gęś, ile chce za swego zajęcia. Kobieta pierwszemu nic nie odpowiedziała, drugiego ofuknęła, dalszym broniła się coraz słabiej, aż zdurzona, ostatniemu sprzedała gęś za zajęcia. Z p. Kozłowskiem stało się podobnie. Uwierzył on mimowolnym i mimowiednym czwartakom naszej prasy, że przyniósł coś innego, niż mniemał, tak że na koniec, „spowiadając się” w „Świcie” z tego, iż uległ słabości miłosnej, wyrzekł o sobie:

*Bo nie na to mi dana pieśni twórcza władza,
Abym opiewał tkliwe dziewic świegotanie,
Gdy z krateru mej duszy jakaś moc wysadza
Lawę, a w głębi słychać w nim piorunów granie.
Kataklizmy dziejowe i walki olbrzymów,
I wielkie, nieśmiertelne starcia dla idei,
Mężę, co w trudach darły swe żelazne zbroje,*

Brzmi to podobnie jak wyrażenie Danta, gdy ten, znalazłszy się w pierwszym kręgu piekła, wśród wielkich mężów starożytności, rzekł: „I byłem szósty z geniuszów chóru.” My więc dziś, przystępując do rozbioru Alberta, musimy zastosować do niego nie tylko tę miarę, jaką wyrok konkursowy dlań wyznaczył, ale i tę, jaką sam autor w zupełnej zgodzie z pochwałami krytycznych plotek za właściwą dla siebie przyjął.

Chyba nigdy przed opinią publiczną nie odegrano większej farsy z utworem, który bez niej zyskałby sobie uznanie, bo posiada wartość. Rozpatrzmy naprzód jego treść. Bogate, zuchwałe niemieckie mieszczaństwo Krakowa ze swym burmistrzem, Albertem, na czele, ukorzywszy się chwilowo przed Łokietkiem, postanawia wyłamać się spod jego władzy i przyłączyć do cesarstwa niemieckiego. Ale król polski pokonywa zbuntowane grody, a zdobywszy Kraków, mści za spisek spustoszeniem i rzezią, w której bądź samobójstwem, bądź podczas walki giną herszci spisku i ich wójt. Z tą osnową polityczną związana miłosna: syn Alberta pokochał córkę

kasztelana, Janka, którą mu wykradł biskup Muskata. Młody Hans, oskarżony przez rajcę Dornbucha, sprzyjającego Łokietkowi, o zdradę, zostaje przez ojca skazany na śmierć, biskup zaś ginie uduszony z rozkazu króla.

Wątek ten, uzupełniony obrazami posiedzeń, sądów i narad, przewija się w dziesięciu obrazach z pełnym pominięciem prawideł dramatycznych. P[an] K[ozłowski] wsuwa i wysuwa swe postacie, jak i kiedy mu się podoba. Zaznaczywszy np. miejsce akcji: „Komnata w grodku krakowskim”, wprowadza tam wszystkich, gdy mu są potrzebni. Autor po prostu objaśnia: wyszedł z „węgła” lub skrył się „za kolumną” i więcej nie myśli o usprawiedliwieniu wejścia lub wyjścia każdej osoby. Wszystko to nadaje budowę arcyprywatną utworowi, który nie jest ani dramatem, ani tragedią, ale raczej szeregiem luźnych i z poetycką swobodą kreślonych obrazów. Gwałci on nie tylko wymagania sceniczne, ale nawet logiczno-artystyczne. Na nieszczęście wszystkie charaktery, mimo pozornej energii słowa, są albo blade, albo nie oznaczone i w rysach znamienych sprzeczne. Albert, bałwochwalczo przez swych towarzyszy czczony, o tyle przedstawia się wyraziście, o ile, wbrew założeniu autora, jest naiwnym samochwałem. Nazywa się „radnym i mężnym”, w chwili największego niebezpieczeństwa każe innym walczyć, a sam się zabija „starym dębem”, człowiekiem „wykutym z granitu i stali”. Podczas szturmów Krakowa wszedł do kościoła, aby tam [!] zabić się, i usłyszał, jak pewien święty „szeptał do niego kamiennymi ustami: jesteś przeklęty, przeklęty, przeklęty”. Pomimo to i chociaż uznaje, że na jego duszę „brzydka rdza padła”, konając powiada: „Nigdy nie spełnił sromotnego czynu.” Woła: „Tu zostanę, cóż, że mnie Polak rozpląta na ćwierci”, w tejże chwili wyjmując sztylet i zapomniawszy zupełnie o swym postanowieniu, upewnia, że „by się zabić, dość ma jeszcze siły”. Rzeczywiście słuszną jest jego następna uwaga, że „może na gorączkę chory”. Bo nawet przed śmiercią, zamierzając na Rynku odkryć przed ludem swoje „sumienie” i „tajniki swej duszy”, również o tym zapomina i wcale ich nie odkrywa. Jeżeli zaś on nie wie, co ma o sobie trzymać, to inni całkiem gubią się w sprzecznościach. Tak np. Łokietek nazywa go „obłudnikiem”, a jednocześnie mężem „szlachetnym i prawym”; uczciwszy zaszczytnym wspomnieniem „znakomitego męża”, zapowiada: „Nie zostanie śladu potęgi tego szalawicy.” Mężny, tchórz, przeklęty, uczciwy, obłudnik, szlachetny, prawy, znakomity, szalawica — zgadnijcież, jakim był wójt krakowski?

Łokietek, ciągle grożący i wylewający te groźby deklamacyjnie, zatrąca mimowolnym humorem, zwłaszcza że ciągle jest pod ręką autora i w potrzebie zjawia się „zza węgła”. Gdy prawi w szerokim stylu o „tajemniczej treści Piastów”, o „katakach Słowiańszczyzny” (Niemcach), o „odwiecznych wrogach narodów sarmackich”, grzeszy tylko nie usprawiedliwioną w jego osobie i czasie przesadą, ale gdy zabiera się do jakiegokolwiek czynności politycznej, jest władcą operetkowym. Z wielkim zamachem postanawia „głęboko zajrzeć do sumienia” Alberta, tymczasem karmi go gorzkimi wyrzutami i sam je od niego zjada, a pożegnawszy winowajcę życzliwie, mówi do siebie:

Gorących rządów mych troski codzienne

Zrodziły we mnie jeden przymiot rzadki:

Uczucie jakieś święte [?] i promienne [?]

Jasnowidzenie kochającej matki [?].

Czy tu „matki” ustawiono dla „rzadki”, czy odwrotnie, mniejsza, dość że Łokietek akurat tego „rzadkiego przymiotu” w dramacie nie posiada. Biskup wykradł córkę kasztelanowi, którą król poleca wynaleźć wójtowi i taką mu daje wskazówkę:

Czyje oko pała

Ogniem namiętym, a twarz jest zuchwała, U kogo dyszą lubieżnością usta, Gdzie gości zbytek i mieszka rozpusta, Tam ty się udaj, a znajdziesz ofiarę. Ręczę ci za to.9
Miał prawo Albert odpowiedzieć, że z takim dokładnym adresem winnego szukać nie będzie.

Ów kasztelan Janko prosi „o względy” dla biskupa, który mu chciał zhańbić córkę; umierając przebity w walce, żartuje z jej „błędnicy” i każe nie pocieszonej po straceniu kochanka „robić wdzięczne oczy” do innego młodzieńca, który „wkrótce wyskoczy”, Łokietek zaś, przechodząc koło konającego, rzecze do jego towarzyszków: „Zostańcie, niech z wami gawędzi” — „cięty w jelita”. Nieszczęsna Małgosia jest między charakterami postacią narysowaną najnieudolniej. To „lube dziecko” w sporze z przyczepioną luźnie do dramatu przyjaciółką, kochankiem i jego przyjacielem mówi o „ślubnej łożnicy”, przyznaje się, że dlatego „zbyt nie zapały hamuje kochanka, aby tym bardziej uszczęśliwić męża”, bo
Najlepiej pono dzieje się w miłości, Kiedy mężczyzna pożąda i... pości.

Wpisany przez Administrator
Czwartek, 25 Czerwiec 2009 20:19 -

Wysoką znajomość rzeczy tego rodzaju owo „dziecko” zdradza na każdym kroku. Obudziwszy się ze snu w zamknięciu u biskupa, woła:

Muskata tutaj, u mojego boku,
Z odętą wargą, z namiętnością w oku.
Bodaj na popiół twa żądza zgorzała.

Nie gromi go mocą swej krzywdy,

nie błaga miłosierdzia, ale z zapalem dysputuje.

„I cóż mi możesz dać?” — pyta.

Włos siwiejący i martwą źrenicę; Przedsmak miłości jeno wzbudzisz błądy [?], Gdyś mię od sutej oderwał biesiady.
Wreszcie nawet ostrzeża go: „Żony nie znajdziesz, a infułę stracisz.”

Natomiast wobec idącego na śmierć kochanka i umierającego ojca Małgosia nie może się zdobyć na jeden silniejszy wyraz i umie tylko mdleć. Zmysłowa dzierlatka w najtragiczniejszym położeniu nie wyrasta na bohaterkę dramatu, nie umie ani silnie kochać, ani nienawidzić, ani gardzić. Gdy trąci w jakąś wyższą strunę, dobywa z niej bezsens. Chce poślubić Niemca, więc ojciec jej pyta, po której stronie Hans stanie w walce dwu narodów. Ona odpowiada:

Wybrnie z toni i jak orzeł biały Wzięci wysoko ponad wojska oba, Próżen wojennej, krwią zbryzganej chwały.”

Wpisany przez Administrator
Czwartek, 25 Czerwiec 2009 20:19 -

To jest — co robi? Autor nie umiał rozwiązać tego węzła. Małgosi nie nauczył i kazał jej wykręcić się „orłem białym”.

Kojarzenie sprzeczności w charakterach jest jedyną konsekwencją, którą p. K[ozłowski] zachowuje stale. Na początku dramatu biskup ma twardość krzemienia i upewnia, że „nie ulegnie”, „zastygnie jak głązy”, a „śmierć marmurowym powita obliczem”; skazany na uduszenie, drży, modli się, spowiada, o rozgrzeszenie prosi.

Do jakiego stopnia zaś autor nie posiada elementarnej umiejętności kreślenia charakterów, przekonywa najdowodniej główną nicią swego utworu. Między rajcami krakowskimi jest jeden Niemiec, Dornbuch, który sprzyja Łokietkowi, przechowuje jego wysłańców, słowem, zdradza rodaków; otóż ten Dornbuch oskarża przed Albertem jego syna, Hansa, o zdradę (znacznie mniejszą) i ściąga nań z ust ojca karę śmierci. Nie jest on zaś wcale podstępny łotrem, lecz obywatelem szlachetnym, który po zapadnięciu wyroku powiada naiwnie:

Chciałem być jeden rady rzecznik tęgi [?], Lecz co robicie, napelnia mnie trwogą, Proszę, zwolnijcie mnie z danej przysięgi.

I „składa swą godność”, oburzony na innych tym, co sam wywołał. Jakim sposobem mógł oskarżenie wnieść jedyny w dramacie człowiek, który go wnieść nie powinien, pozostałoby zagadkowym dziwołagiem, gdybyśmy ustawicznie nie spotykali dowodów niepamięci autora, który od najważniejszych do najdrobniejszych rzeczy zapomina o tym, co poprzednio napisał, i nawet skazawszy Hansa na „ścięcie”, pozwala Małgosi widzieć „szubienicę”.

Sprzeczności w rozsnuwaniu watka i w charakterystyce osób płyną z ciągłej chęci autora utrzymania się na patetycznych szczudłach i szepiania dosadnych wyrazów. Dlatego każe Łokietkowi dumać nad zwłokami „znakomitego męża”, Alberta, a za chwilę nazywać go „szaławią”. Bo dla p. K[ozłowskiego] każde słowo jest dobre, które mocno brzmi, chociażby ono, zastosowane do jakiejś postaci, przeczyło rysom poprzednio nakreślonym.

Ten prawie mechaniczny dobór silnych dźwięków przyczynił się zapewne najbardziej do stworzenia złudnych pozorów i obalamucił roz-nosicieli sławy autora. Tymczasem

Wpisany przez Administrator
Czwartek, 25 Czerwiec 2009 20:19 -

„Shakespeare, Kochanowski, Słowacki” pisze językiem tak niepoprawnym, tak w barwy poetyczne ubogim, że zamiast podziwu przydałaby mu się staranna korekta. Przytoczmy kilka prób. Janko klnie się: „Bogdaj mnie pioruny i więcej jeszcz e.” Do Ratibora, z którym ma walczyć i z którego ręki ginie, woła: „Ustap, wściekły capie, z drogi, powiadam, bo weźmiesz po ł a p i e.” Kadencja jest — jak twierdzono dawniej — ale sentencji mało. Łokietek posiada „żmiję mądrości”, Albert zaś mówi do niego: „Głos twój grzmi i skrzeczy.” Muskata do Małgosi: „A świat bez ciebie cały straszna matnia” (jeden z ulubionych wyrazów autora), Bernard zaś odzywa się o zakochanym przyjacielu: „Na jego ustach straszliwa przysięga [?], co wieczność [?] kryje i górnych gwiazd sięga” [?] — co nadmiarem sensu nie grzeszy. Florian grozi zdrajcom: „Człowiecza wszelka z nich opadnie szata, a ja zawołam: istny koniec świat a.” Dlaczego ma być wtedy „koniec świata”?

Tak zwana fabuła jest według nas rzeczą podrzędną, a w każdym razie do wykonania łatwiejszą. Nieumiejętne kreślenie charakterów pierwszemu występowi przebaczyć można, ale co nie jest własnością nabytą, a co stanowi rdzeń talentu poetyckiego, to sztuka formy, bogactwo uczuć i środków artystycznych. Otóż natura wyposażyła p. Kfozłowskiemu] pod tym względem zaledwie w średniej mierze. Właśnie tej siły, którą w takiej potędze widzimy u Shakespeare'a, a w takim uroku u Słowackiego, naszemu autorowi brak. Prawie wszystkie jego wyrażenia, o ile nie są pospolite, są przedęte, prawie wszystkie porównania ułomne, a żadne artystycznie nie rozprowadzone. Elżbieta np. mówi do Małgosi: „Chłopcy jak szpaki przylecą do ciebie.” Czemu „jak szpaki”? „Życie bez miłości jest jak pochodnia, co dymi, nie płonie, przy konającym.” Przy konającym nie pali się żadna „pochodnia”, a jeśli pali się, to i płonie. „Bo moje życie — skarży się też sama niewiasta — jest z czarnego watka i k ą k o 1 wschodzi na moim zagoni e.” Zestawienie nieszczęśliwe. Łokietek rozkazuje: „Niechaj [powieszeni] świecą z góry ku miastu każdy jak pochodnia.” Hans: „Nienasycone porywy i żądze w piersi kołaczą jak jaskółki lotn e.” Akurat jaskółki nigdy nie kołaczą, bo nigdy nie są trzymane w klatkach.

Albert sławi cesarza:
Kiedy brwi ściągnie u gniewnego czoła,
Książęta postrach śmiertelny przenika,
Jak gdyby grzmiała trąba archanioł a.

Groza zmarszczonych brwi, porównana z grzmotem trąby, dziwiłaby nas w wyobraźni wschodniej, gdyż przechodzi nawet „nos jako wieża patrząca ku Damaskowi”. Logiczne rozwiązanie porównań i przenośni, tak prześlicznie dokonywane np. przez Mickiewicza, autorowi Alberta jest całkiem nie znane. Jeden z jego bohaterów maluje oblegające Kraków wojsko Łokietkowe. Polak „m y s z k u j e tuż przy samym wale, wyszczerza zęby, błyska oczyma i waruje jak pies na łańcuchu”. W całym dramacie nie ma ani jednego porównania, ani jednej przenośni dobrej, ani jednego wiersza, który warto byłoby zapamiętać.

Nie znamy ani dramatu, ani w ogóle poematu z uznaną wartością, którego środki artystyczne byłyby szczuplejsze niż w Albercie. P[an] Kozł[owski] gra ciągle na kilku wyrazach, którymi maluje najrozmaitsze uczucia. Pies, kości i szpik, czart, skaza, duchy i kilka jeszcze — oto cała jego paleta. W powyższych przytoczeniach już czytelnik spotykał te kolory ubogiej tęczy; dla poparcia naszej uwagi dodamy szereg prób nowych. Pierwsze miejsce zajmuje pies. Muskata: „Przepadnij, psi synu, tfy, na psa urok.” Suderman: „Skomlą by szczeniaki, jak psy się liżą.” Albert: „Rzucasz nam pogardę jak psom kości — ty psy zażarte spuściłeś ze smyczy.” Ratibor: „Ten pies zasłużył.” Muchow: „A kości twoich nie zechce sobaka.” Janko: „Zdechł pies, ty pieski synu” itd. Kości, prócz połączonych z psami, również występują często samodzielnie i ze szpikiem. Albert: „Niechaj moje kości skręci paraliż, chociaż po kościach strachu idzie mrowie.” Suderman: „Szpik zimnego strachu marznął w kości.” Ratibor: „Ażeby zdrajców przeszło mrowie do szpiku kości.” Janko: „Zimny strach idzie po kościach” itd. I czart zjawia się nierzadko. Albert zwłaszcza zna „szatanów wycie — siłę czarta”, chce „wejść w układ z samym Lucyferem”. Podobnie Janko mówi o „siłach czarta”, Małgosia i inni. Skazę autor widzi wszędzie: „na duszy” i „murach” (Albert), na „twarzy” (Suderman), a czasem ona nawet „lśni się” (Albert).

Przerywamy cytaty, gdyż w tej liczbie wystarczą one do okazania artystycznej zasobności autora. Z tej strony, która nota bene była najbardziej chwaloną, jest on najślabszy. Że technik 15 — według zapewnienia tych, którzy go „interviewowali” — nie znający literatury, mógł nie wiedzieć, jakimi skarbami myśli, uczuć i języka rozporządzają pisarze znakomici, to nic dziwnego, ale że o tym nie wiedzieli ludzie roszcący sobie prawo do krytyki, to jest bezprzykładnym. Są pisarze genialni, którzy we wszystkich swych dziełach nigdy nie powtórzyli ani jednego porównania, a wielu naliczyć można takich, którzy nie powtórzyli ich w tym samym utworze. Rozległa skala barw poetyckich tworzy tę uroczą różnorodność, którą w nich podziwiamy. Wprowadzanie zaś p. Kozłowskiego w najdalsze pokrewieństwo z Sha-kespeare'em i Słowackim jest dziecinnym bluźnierstwem przeciwko całej twórczości ludzkiej i przeciwko własnej literaturze. Bluźnier-stwa takiego dopuścić się mogą tylko ci, którzy nigdy nie czytali arcydzieł lub którzy ich nie rozumieją.

Nie myślimy wszakże utrzymywać, że Albert jest utworem zupełnie pozbawionym zalet. Znajdujemy w nim bowiem mało pospolitości, a dużo młodzieńczego zapału. O ile z tej jednej pracy wnosić wolno, autor grubo się ludzi co do swoich „przeznaczeń”, mniemając, że „twórcza pieśni władza” dana mu dla malowania „kataklizmów dziejowych, walk olbrzymów i nieśmiertelnych starc dla idei”, ale przyznać mu trzeba zdolność dramatyzowania wątków historycznych. Niektóre sceny — np. sąd na upiory — nakreślone ładnie i wyraziście, a chociaż stopniowanie akcji prawie zawsze bywa wadliwe, jej ton nużąco jednostajnym, chociaż postacie sklezione ze sprzecznych i jaskrawych rysów są wyrobami imaginacji swawolnej, wszystko to trzyma się, zajmuje i niedoświadczone oczy olśniewa młodzieńczym rozpędem pióra nie posuwanego w liniach szablonowych. Znać umysł świeży i gorący. A jak nieraz podoba się nam namiętna mowa studenta, mimo że nie zawiera ani głębokich prawd, ani świetnych zwrotów i działa jedynie swym rytmem, swym tętnem, tak samo podoba się Albert. Jak zaś ciotki i znajome owego studenta zostają przezeń odurzone, tak odurzeni zostali sprawozdawcy, którzy napletli niestworzonych dziwów. Gdyby utwór p. Kozł[owskiego] nie był wprowadzony do literatury tryumfalną bramą konkursową i gdyby wszedł zwykłymi drzwiami, ledwie krytycy rejestrujący wszystkie objawy piśmiennictwa zwróciliby na niego uwagę, a nikt by zmysłów nie

Wpisany przez Administrator
Czwartek, 25 Czerwiec 2009 20:19 -

tracił. Przeciwnie, może by wytknięto autorowi szyderczo kombinacje z kilku wyrazów staropolskich (owa, luty, szablicha i inne), mające udawać język epoki Łokietka, może by mu obszernie wytłomaczono, że wówczas nikt nie „liczył na Zawiszę” i że to z przeszłości poczerpnięte wyrażenie nie nazywa się — jak on je w dopisku chrzci — „anachronizmem” itd. Słowem, więcej by znaleziono materiału do przycinków niż pochwał. Albert, uwieczony na konkursie, stał się wielkim wypadkiem, „dowodem żywotności”, którego nam było „trzeba”, najznakomitszym dramatem historycznym.

Od lat wielu uczestnicząc w literaturze polskiej i prasie warszawskiej, byliśmy świadkami wielu kuglarstw i fars, wyprawionych kosztem dobrej wiary ogółu, ale takiej farsy nie widzieliśmy nigdy. Nad-sztukowywano reklamą liliputów, ale w mierze ludzkiego wzrostu; padano w proch przed Sienkiewiczem, ale to jest pisarz dużej siły; to wszakże, co wyprawiono z p. Kozłowskiem, przeszło najdalsze granice fiksacji i swawoli. Obiecującego debiutanta zamianowano znakomitym artystą i postawiono obok geniuszów, utwór niedojrzały, niebogaty, nie lepszy od dziesiątka innych własnej literatury podniesiono do wysokości arcydzieła. Umarli z grobu nie wstaną i przeciw tym lekkomyślnym wyrokom nie zaprotestują, ale co uczują żywi?... Obojętność lub odrazę do takich trybunałów. Po co nam był Słowacki, jeśli go w naszych oczach przewyższa p. Kozłowski, co warta cała nasza zbiorowa praca, jeśli dopiero laureat konkursu dramatycznego przekonał świat, że „żyjemy”? Po tym sędzie raczej należałoby o tym zwątpić, niż uwierzyć. Literatura, w której można wyprawiać takie jasełka ku uciechu szerokich kół, zdrową nie jest. I jeżeli kilkaset wierszy poświęciliśmy rozbirowi utworu, który na krótkie tylko sprawozdanie zasługiwał, zrobiliśmy ustępstwo chorobie krytycznej, z którą trzeba walczyć rachunkami szczegółowymi.

Rozpatrzmy dalszą zawartość plonu konkursowego.

[SEO by Artio](#)